Rok IX^ty. Nr. 18.

Szkółka niedzielna



Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela szósta po Wielkiéj nocy,* dnia 4. Maja 1845.

Religia.

Cudowny jest Pan Bóg w swych dziełach.

Kasper i Kordula Lipdomscy.

(Dalszy ciąg.)

Nadeszła niedziela. Tymczasem już matka wszystko miała przysposobione, co było potrzebne do podróży ojca, a mając wszystko pod ręką, rzekła: „pobłogosławże, o Boże, téj podróży i przyprowadź nam napowrót ojca szczęśliwie,“ co powiedziawszy, położyła tłomoczek podróżny na ławkę. Wtém wpada do izby Konrad zadyszały i w głos woła: „matko, kochana matko! nasz Anzelm idzie przez rynek!“ a ledwie to wymówił, Anzelm wchodzi do izby. Ojciec, matka, siostra i brat prawie osłupieli i zadrzeli, ujrzawszy Anzelma, bo to już nie był ów, jako róża kwitnący młodzieniec, jakim odszedł do wojska. Bałamutne życie, które prowadził, nad podziw go oszpeciło. Zapytał tedy ojciec w pomieszaniu: „jesteś jeszcze moim kochanym Anzelmem, czy też już nim nie jesteś?“ „Jestem, ojcze kochany, a przynajmniéj będę,“ odpowiedział, i padł do nóg ojcu i matce; wstawszy zaś, przywitał brata i siostrę, podawszy im rękę. „O synu kochany!“ rzekła teraz matka łzami zalana, „jakże nas smutna wiadomość doszła o twojém niedobrém sprawowaniu się u wojska! Ach! jeżeli tak, o synu, to się już naszém dzieckiem nazywać nie możesz, bom ja cię Bogu wychowała.“ — „Tak jest,“ dodał ojciec, „gdyby tak być miało, gdybyś się nie poprawił, oddałbym cię do domu poprawy. Mam przecie w Bogu nadzieję, że będziesz dobrym. Wypoczniéj więc sobie tymczasem, zasil się, jutro rano zaczniem od modlitwy w kościele, a po Mszy ś. do pracy. Pilnie uważać będę, jak się w domu zachowasz.“

Stało się. Nazajutrz wróciwszy z kościoła Anzelm, zaczął pilnie pracować, i znaczny czas nie popełnił żadnéj zdrożności. Tylko jedno martwiło rodziców, że go uważali bardzo oziębłym do modlitwy, do kościoła na nabożeństwo i do czytania dobrych książek. Często się o to żaliła pobożna matka do Boga w czułych swoich modlitwach, i błagała o większą dla niego gorliwość do dobrego. Nieraz go i ojciec upominał, aby był pilniejszy w chodzeniu do kościoła i czytaniu pobożnych książek, stawiając mu

przed oczy przykład brata i siostry. Mimo tego, przecie Anzelm żadnéj nie okazywał chęci do tego; przeto razu jednego w użaleniu rzekł ojciec do matki: „trudna to tam poprawa, kochana żono, gdzie już złe wkorzenione w nałóg się obróciło. Ach! nie tak to łatwo porzucić nałóg, jak suknią zdjąć z siebie i na stronę odłożyć. Zły nałóg jest podobny do plamy, farbą olejną zrobionéj, którą bardzo trudno wywabić. A na wywabienie i zniszczenie téj, nie masz innego sposobu, jak ustawiczna modlitwa i ciągła walka.“ — Matka: Ale o tym środku nie chce wiedzieć i słyszeć nasz Anzelm. — Ojciec: Tém gorzéj! przecież nie traćmy nadziei. U Boga nic nie masz niepodobnego. Za Jego pomocą wszystko się uda, nie przestawajmy tylko się modlić i upominać.“ Mocno pocieszyły Kordulę te słowa męża, zmartwienie przecież pozostało w sercu.

Złe dziecko jest największém zmartwieniem rodziców.

Jak w każdém miejscu są źli i bezbożni ludzie, tak i miasteczko, w którém mieszkali Lipdomscy, nie było wolne od takowych. Nasz Anzelm, mimo codziennych szczérych i czułych upomnień rodzicielskich, aby się nie wdawał w kompanie złych towarzyszów, zawarł z nimi znajomość, a następnie nie długo przyjął ich sposób życia: przywykł do pijaństwa, bałamuctw i zupełnie puścił się na łajdackie życie. A że rodzice nie mogli obojętnie patrzeć na tak niegodziwe życie i haniebne postępki syna, przeto mu ciągle przedstawiali, prosili, upominali, łajali. On zaś, zamiast wniść w siebie, postrzedz się i poprawić, aby się pozbył ciągłych rodzicielskich nalegań i wyrzutów, opuścił ich dom, udał się do kowala, w znacznéj odległości mieszkającego, aby tylko bez wszelkich wyrzutów i przeszkód mógł się udzielać pijackim kompaniom, do których już był przywykł.

Bardzo rozmaitych zgryzot i zmartwień doznawać muszą rodzice, żadne jednak zmartwienie nie jest większém i mocniéj dojmującém nad to, jakie im sprawują dzieci, źle się prowadzące. Prawda, że często sami rodzice są winni, gdy dzieciom dają z siebie zły przykład, albo ich źle chowają, nie kształcą wcześnie ich umysłu i serca, nie zaszczepiają troskliwie bojaźni i miłości Boga i nie dają czułéj baczności na ich wszelkie postępki i zachowania się dziecinne. Lecz gdy sami rodzice są z gruntu serca pobożni i religijni, z wszelką troskliwością napawają cnotą młodocianne serca swych dziatek, chowają w należytéj karności, prócz ustnych, z serca pochodzących rad, przestróg, nauk, własnym przykładem utwierdzają w nich cnotę i pobożność, a mimo tego muszą doświadczać od nich nieposłuszeństwa, krnąbrności, kłamstwa, uporu, patrzeć się na ich rozwiozłość, bezczelność, bałamuctwa, pijaństwa, klątwy i t. p.; i widzieć je szeroką drogą na oślep z bezbożnemi biegących na swoję zgubę; możesz nad to być większa zgryzota, boleśniejsze zmartwienie dla rodziców?

Takiém zmartwieniem i zgryzotą stawał się Lipdomskim, najlepszym rodzicom, ich syn Anzelm; często tedy mawiała matka do innych swych dzieci: „o jakbym chętnie wszelkie inne zmartwienia przyjęła i znosiła w cierpliwości, gdyby tylko dobroczynna Opatrzność naszego Anzelma zmienić, do uznania jego dróg niegodziwych przywieść, i z nich na drogę poprawy zwrócić raczyła.“ Nie jedną przeto godzinę na płaczu i jękach stra-

wiła, nie jednę noc przepędziła bezsenną, a od ciągłéj zgryzoty widocznie mizerniała. „O matko kochana!“ często mawiała do niéj dobra córka Klara, „nie bierzże tak bardzo do serca zmartwienia z przyczyny Anzelma, bo znów zachorujesz, a może nam i umrzesz z tego zbytniego żalu.“ — „Módlmy się tylko ciągle w mocnéj wierze i ufności do Boga, jako jedynego pocieszyciela w każdéj potrzebie,“ rzekł Konrad, „a on nam dopomoże, że my jeszcze znajdziem naszego obłąkanego Anzelma.“ „Tak jest, kochane dzieci, my co innego czynić nie możem, tylko się modlić,“ odpowiedziała matka, „tylko dopraszać się pomocy z nieba, i w zaufaniu oczekiwać łaski od Boga do jego nawrócenia.“

Była to właśnie wigilia do ś. Augustyna. W tym domu pobożnym już od dawna był zwyczaj chwalebny, że w wigilie znaczniejszych świąt, czytano na wieczór żywot Świętego, którego święto nazajutrz przypadało. Rzekł tedy ojciec na wieczór: „dzisiaj przychodzi na ciebie Klaro koléj do czytania.“ Klara tedy zaczęła czytać. Ojciec, matka i Konrad słuchali. Podobnaż było, aby się matka mogła była wstrzymać od płaczu, słysząc tak wyraźnie w ś. Augustynie wystawiony obraz swojego Anzelma, a w jego świętéj matce Monice, swój własny? Jedna więc łza wytrącała drugą z jéj oczu, i nie mogła wstrzymać się od żałosnych jęków i bolesnego płaczu. Jéj żal jednak nieco się uśmierzył i znacznéj ulgi w sercu doznała, gdy Klara w czytaniu przyszła do miejsca, w którém ś. Biskup Ambroży pocieszał i upominał matkę, Monikę, aby nie przestawała łez swoich i modłów przesyłać przed tron Boga za swego syna, zapewniając ją, że to być nie może, aby to dziecko zginąć miało, za które matka tak wiele łez wylewa i tyle czułych prośb do Boga zanosi. Te słowa stały się balsamem uleczającym jéj serce zranione, a razem nowym bodźcem do tém czulszych modlitw, z żywą wiarą i nadzieją w miłosierdzie Boga.

Gdy Klara skończyła czytanie, i wszyscy zabierali się do spoczynku, te dwoje dobrych dzieci rzekły do ojca: „kochany ojcze, jeżeli pozwolisz, to my jutro rano wyszukamy naszego brata Anzelma i poprosimy go do nas na obiad.“ Na to odpowiedział ojciec: „o kochane dzieci! ja myślę, że Anzelm nie da się znaleść; już on tak daleko zabrnął, że troskliwie unika wszelkiego światła łaski, i wszelką tę rękę odpycha, która go usiłuje wprowadzić na drogę dobrą. O gdyby tylko jeszcze głębiéj nie zanurzył się w zbrodnie, a w krótce nie chwycił się ostateczności.“ — „Ach nie! ojcze kochany,“ rzekła Klara, „ja ufam w miłosierdzie Boga, że go od téj ostatecznéj ślepoty i zguby zachowa! moje serce mnie cieszy i wzbudza nadzieję, że my jeszcze naszego brata tak, jak świętego Augustyna, widzieć będziemy z pociechą naszą wracającego na drogę pokuty.“ — Matka: O gdyby Bóg dał, abym jeszcze téj pociechy dożyła! — Konrad: Jak to długo musiała święta Monika czekać na nawrócenie swego Augustyna, ile to prośb zanieść do Boga i łez wylać! — Klara: A nagle jéj płacz i żal zmienił się w radość, gdy ujrzała syna wracającego do Boga i oddającego mu się całkowicie. — Konrad: Takiéj i my radości doznać możemy, i ja nie wątpię, że jéj doznamy. — Klara: A wtedy, kochana matko, tém radośniéj cieszyć się będziemy, im dłużéj posmucimy się i poczekamy na tę pociechę. — Matka: O dobre dzieci! jakże pocieszającą, słodką

we mnie staracie się wzbudzić nadzieję! Tak, kochane dziateczki, nie traćmy nadziei, a jak ś. Monika ufajmy i módlmy się, módlmy się ciągle, aż do chwili, która może w niedościgłych wyrokach swoich przeznaczyła Opatrzność do przemiany mego syna, a waszego brata; teraz zaś w tém świętém postanowieniu polećmy się na nowo Bogu, i udajmy na spoczynek; dobra noc wam, kochane dzieci.

Rodzice i dzieci od czasu do czasu dowiadywali się o postępkach Anzelma; lecz na większe swoje zmartwienie coraz smutniejsze otrzymywali wiadomości: że go nikt nigdy w kościele nie ujrzy, że niedziele i święta i całe noce trawi w szynkowni na pijaństwie, grach, bałamutach, że nikomu nie da pokoju, każdego zaczepia, wszelkie kłótnie i niesnaski wszczyna, bluźni, złorzeczy, wszeteczeństwa pełni. Słysząc to, z ciężkiém westchnieniem rzekła strapiona matka: „Jakże jeszcze długo trwać będzie jego zbrodnia!“ a wzniósłszy ręce i oczy łzami zalane ku niebu, z bolesném westchnieniem z głębi serca zawołała: „Ty sam, o Panie, ratuj, bo my już nie zdołamy.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Gospodarstwo rólnicze.

T y t u ń.

(Z rękop. X. D. B.)

Używanie tytuniu ma swój początek z Chin i Ameryki. Najprzód Hiszpanie znaleźli go na wyspie Tabago w r. 1496, ztąd tę roślinę nazwano t a b a k ą. Potém w lat 50 Jan Nicot, poseł francuzki w Lisbonie, w Portugalii, zwrócił na tytuń uwagę dworu swego, ponieważ dostrzegł, że liściami tytuniu niebezpieczne gojono wrzody; dla tego nazywają je w aptekach Nicotiana. W r. 1561 przywiózł tytuń do Anglii Franciszek Drake. W r. 1629 palono go już w Stambule i później w r. 1629 w proszku zażywano. Tytuń wymaga ziem średnio mocnéj, ale tłustéj, równéj, i nie wystawionéj na zalewy. Nowizna dziwnie służy téj roślinie, chciwéj soków. Nasiona sieją na grzędach. Gdy roślina ma już sześć listków, wyrywają one powoli w czasie wilgotnym i przenoszą w ziemię, już do tego przygotowaną, gdzie ją sadzą o trzy stopy łodyga od łodygi. Roślina ta wymaga ustawicznéj pracy: trzeba pleć zielsko, obrywać u głowy, aby się nie zbyt wysoko wznosiła; uwalniać od wyrostków, obrywać liście spodnie i te, co są do zgnilizny skłonne, i nie zostawiać więcéj liści nad dziesięć. Zostawia się tytuń przesadzony cztery tygodnie w ziemi. W miarę, gdy się zbliża do dojrzałości, zieloność żywa i wesoła liści przybiera cień, liście opuszczają główki, a zapach, który wydają, czuć się daje z daleka; wtedy roślina jest dojrzała i trzeba ją zbierać. Łodygi ścięte bywają składane na téj ziemi, która je wydała, i tam zostają przez noc tylko jednę, dla wypocenia się. Nazajutrz składają je pod szopę, gdzie powietrze ze wszech stron wolny ma przystęp. Tam zawieszone pojedyńczo, zostają tyle czasu, ile potrzeba do zupełnego ich wysuszenia. Rozciągają je potém na deskach, gdzie zostają jeden albo dwa tygodnie. Nakoniec obrywają liście i układają w beczki lub paki.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: X. *T. Borowicz*.)